№ 22. Piątek, dnia 26 Lutego 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 14 (26) lutego 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Ciąg dalszy).

Młody, pełen zapału poeta z namaszczeniem bożem, trapiony długą chorobą, wyczekiwał swobodnej chwili od cierpienia, aby myśli swoje i natchnienia przelać mógł na papier. Kochał piękną i wykształconą istotę, a czując gasnące życie i nadzieję poprowadzenia jej na ślubny kobierzec do ołtarza, napisał wiersz, któremu dał napis: *„Gdy moje oko światłem nie błyśnie,"* pełen wiary i rzewności. Z niego przywiodę pierwsze trzy zwrotki.

Gdy oko moje światłem nie błyśnie,
Gdy w głowie ścichną marzenia,
A sen na zimnych ustach wyciśnie
Pieczęć wiecznego milczenia:
Wtedy się luba przybliż spokojnie
Obaczyć ciało bez duszy,
Smutne trofea po życia wojnie,
I te czas wkrótce pokruszy!
Nie chcę byś czarno przyszła ubrana
W suknie rozdziału złowieszcze,
Ta, co za życia była kochana,
Po śmierci będzie nią jeszcze;
Precz łzy, boleści i miękkie żale,
Co łatwo wierny gmin mami!
Niech serca, które kochało stale,
Twoja wątpliwość nie plami!
Czyściejszej wiary skrzydła mnie wznoszą,
Duch mój kotwicy nie traci,
Nawet śmierć dla mnie będzie rozkoszą,
Cudna, anielska postaci!
Tam szczęście stałem, miłość wzajemną,
Wiecznie mocne serca bicie,
A tybyś miała płakać nademną,
Żem zwodne zakończył życie?

Gorący zwolennik literatury ojczystej, umiejący cenić drogocenne jej zabytki, odkrył przypadkowo rękopis arcydzieła Wacława Potockiego, poemat: *Wojna Chocimska* w dziesięciu pieśniach. Zachwycony jego pięknością i prawdą malowidła tych bohaterskich zapasów szczupłego zastępu polskich chorągwi z całą potęgą muzułmańską 1621 roku, pragnął co rychlej go wydać, ale jakby przeczuwając zgon bliski powierzył ten skarbiec drogi w ręce przyjaciela swego Stanisława Przyłęckiego, z warunkiem najrychlejszego ogłoszenia drukiem; w siedem lat po zgonie Józefa spełnił to życzenie Przyłęcki [1]).

Kiedy Bielowski powziął myśl wydania *Ziewonii* noworocznika na rok 1834, każdy z naszego grona przygotował pracę swoję, Józef Borkowski dał trzy wiersze, pomiędzy którymi odznaczał się *Pogrzeb Beja*. Co to za pyszny obraz, którym się ten utwór rozpoczyna:

Góry wciąż góry! a skały, a skały,
Jak wielkie sępy pod niebo wzleciały;
Z głowy im piorun wytryska,
Trzy ciemne bory siadły na ich grzbiecie,
Dwadzieścia dolin czarny spód ich gniecie,
Ich twarz w stu zdrojach połyska!
A księżyc na nie złotem patrzy okiem,
Światło przed cieniem, obłok za obłokiem,
Jak łódka za łódką płyną;
A tu gdzie jary pokładły się spodem,
Głodne szakale długim korowodem,
Ciągną, jak strachy gęstwiną....

Bielowski z uniesieniem odczytywał mi ten ustęp. Kiedy zebrało się dosyć literackiego materyału, a po *Ziewonii* niebyło myśli dalszego jej ciągu wydać, w cztery lata później Józef Borkowski w Wiedniu ogłosił tom pierwszy zbiorowego pisma p. t. *Prace literackie.* (Wiedeń, nakładem wydawcy w Tłoczni A. Straussa wdowy. 1838 r. w 12-ce str. 224). Do grona dawnych współpracowników, przybył nowy, Józef Dzierzkowski, który tu pierwszy raz wystąpił na polę piśmiennictwa z powieścią swoją: *Płacz i Śmiech.* Sam wydawca drukował w tym zbiorze ważną i zajmującą rozprawę: *O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim.*

W ostatnich latach życia, zajął się przygowaniem ułożenia *Album na korzyść pogorzelców*, zebrał zasoby piękne i rozpocząwszy druk w Wiedniu, już drżącą ręką zaledwie potrafił te skreślić wyrazy, mające stanowić początek wstępu:

„Oto jest książka, która powstała na popiołach i gruzach pogorzeliska. Obywatelskie serce rodaków czułych na każdą bratnią niedolę i nędzę dało jej życie. Chciałaby być godną takowego natchnienia. Czując to, wezwaliśmy wszystkich pracujących u nas około literatury. Przyjaciele moi, którym miałem zaszczyt przewodniczyć w *Pracach literackich*, wsparli mnie najchojniej. Inni także piszący, raczyli się przyłączyć, składamy im najczulsze za to dzięki. Żałujemy, że nie mogliśmy umieścić wszystkich z różnych stron nadesłanych artykułów, niektóre z nich były niestosowne, inne zbyt obszerne."

Brat młodszy Leszek, dokończył już rzeczy rozpoczętej i znacznie w druku posuniętej, gdy sam wydawca w samej sile męzkiego wieku, bo w 34 roku zakończył życie! [1]).

Leszek, całą postacią jak i obliczem niebył do brata podobny. Wyższy, wysmukły i ruchliwy w życiu był żywym jego przeciwieństwem. Zwolennik sztuk *à la Bosco*, miał wszystkie przyrządy gotowe do pokazywania sztuczek kuglarskich, i często z niemi przychodził dla rozrywki mojej żony. Wtedy przy pogawędce, zaczynał w gronie całem widowisko swoje, i przyznać należy, że sprawiał się żwawo, i zręcznie.—Do *Ziewonii* dał cztery mniejszych rozmiarów udatne wierszyki; podpisywał się wtedy nie *Leszek* tylko Aleksander.— W *pracach literackich*, pomieścił swój poemat obszerniejszych rozmiarów, p. n. *Orły z Herburtów, powieść fantastyczna*, osnuty na tle pięknego podania ludowego, które się przechowało w okolicy *Dobromila*, że dawni dziedzice tego zamku *Herburtowie* w orły się po śmierci przemieniali.

1) *Wojna Chocimska* poemat bohaterski w dziesięciu częściach przez Andrzeja Lipskiego podwojewodzego Sandeckiego, podczaszego Chełmskiego. Z rękopismu współczesnego, wydał Stanisław Przyłęcki. Nakładem Księcia Henryka Lubomirskiego, Kuratora Zakładu Narodowego Ossolińskich. Lwów. 1850 r. (W 8-ce str. XXXV, 427 i trzema portretami J. K. Chodkiewicza, Stanisława Lubomirskiego i Jakuba Sobieskiego, oraz podobizną rąkopisu oryginalnego). Szajnocha krytycznie dowiódł, że poemat ten, nie Lipskiego, ale Wacława Potockiego jest utworem.

1) W rokn 1856 księgarz lwowski Kajetan Jabłoński rozpoczął zajmujące i użyteczne wydawnietwo p. n. *Dzieła znakomitych pisarzów krajowych.* Tom pierwszy obejmuje: *Pisma Józefa Hrabiego Dunina Borkowskiego.* Na czele jest życiorys zgasłego pisarza przez A. Bielowskiego, ten sam, który wydrukowany był w *Albumie na korzyść pogorzelców.* Cząstka tylko prac J. Borkowskiego tu pomieszczoną została, między temi oprócz poezyi i przekładów, zwracają uwagę: *Pieśni ludu, Opisanie ziemi Mołdawskiej*, i rozprawa p. n. *Mowa kwiatów, dzieje roślin, znaczenia symboliczne kwiatów, zegar i kalendarz kwiatowy*, ze zbiorem stosownym poezyi. Na tym tomie stanęło całe wydawnictwo, nie poparte przez Galicyą, a prace Józefa Borkowskiego w większej części spoczywają dotąd w rękopisie.

O ODNAWIANIU DZIEŁ
sztuki religijnej treści i teraźniejszych jej utworach.

Wieki ubiegłe pozostawiły po sobie pamiątki niepospolitych dzieł sztuki religijnej, tak

w innych krajach tak i w kraju naszym. Były one bogate poczuciem piękna, podniosłością ducha i tem świętem namaszczeniem, bez którego daremnie malarz bierze się do pracy, daremnie mówię, bo praca jego będzie jak suchy liść jesienny. Gorzej jeszcze, on sam w połowie rozpoczętego dzieła, przyglądając się utworowi swemu, wołać będzie: zepsułem obraz! i nim dojdzie do końca spożyje gorzki owoc nieudolności swojej. A jeśli go pycha owładnie, i bądź co bądź ukończy swą pracę, będzież miał prawo zasługi, gdy zamiast olbrzyma stworzył tylko karła? Cóż powiedzą na dzieło jego ludzie myśli głębszej, dopatrujący prawdziwego piękna w dziele sztuki religijnej treści? — Oto obwiniać będą artystę, iż się pokusił o rzecz której sprostać nie mógł, iż poważył się bez iskry świętego natchnienia przystąpić do tego uroczystego wyznania, które dusza pędzona siłą miłości bożej czyni przed Panem, z tego wszystkiego co w jej głębi spoczywa, — a co być winno pełne powagi, spokoju i świętości.

Znajdująż się te zalety w teraźniejszych malarzach?—Krótka na to odpowiedź—rzadkie to są wyjątki.

A czemuż tak pochopnie biorą się do dzieł treści religijnej, czemu tak zaufani w siłę swoję twórczą. Czyż nielepiej byłoby pracować nad widokiem zdjętym z natury, obrazkiem fantazyi, szkicami humorystycznemi, niżeli zarzucać nas światowemi dziewojami, które mają przedstawiać Niepokalaną Dziewicę, lub wyobrażać wielkich zakonodawców jak n. p. Ś-go Franciszka Serafickiego, w chwili gdy odbiera stygmata od anioła, w dziesięciu przynajmniej kolorach i to jasnej barwy, różowej lub zielonej, aby się oko bawiło grą kolorów. — Albo obraz zdjęcia z krzyża, gdy Matka Boska chustką oczy ociera, a Józef z Arymathei, zacny senator, członek wielkiej rady, i Nikodem, wyglądają tu jakoby nędzni najemnicy. Słowem jedyną tendencyą teraźniejszych malarzy, jest niezaprzeczenie największa ilość i rozmaitość barw, o ile można najbardziej jaskrawych jak to widzimy w niedawno odnowionym obrazie Ś-go Józefa w kościele Narodzenia Panny Maryi; jestto alfa i omega bez których obejść się nie mogą [1].

Teraz szukajmy tego co było prawdziwie pięknem, a znikło, — albo raczej przeobrażeniu uległo. Gdzież się podziała owa dziwnie urocza Magdalena, obraz szkoły włoskiej,— cudna to była pokutnica pełna pokory i boleści, łzy które spadały z jej oka paliły niejedno serce świętą skruchą żalu,—dziś albo raczej od lat kilku, zastąpiona zwyczajną dzieweczką, litość budzi w sercu patrzącego, a zarazem i boleść, jak można podobnie marnować dzieła sztuki i przekształcać je na prostą bazgraninę. Magdalena wsparta na grobowym kamieniu, była podziwem artystów; sama słyszałam z ust szanownego kustosza muzeum sztuk pięknych, jak długo nieraz stawał przed nią, i nie mógł się dosyć pięknością jej nasycić.—Albo Chrystus u słupa, którego oblicze tyle miało boskości, oczy garnęły ku sobie wyrazem miłosierdzia i pociechy, po odnowieniu stał się zupełnie innym obrazem. Dziesięć już lat upłynęło od chwili tego świętokradztwa, i drugie dziesięć upłynie, a boleść nasza się niezmniejszy, bo prawdziwa boskość dopatrzona w dziele religijnem, nigdy nie może wyjść z pamięci, na zawsze pozostanie w duszy jako promień widzialnej świętości.

Inny znów obraz Rubensa, dzieło wielkiej wartości, zmytym został przy odnowieniu; cudne oblicze Gołąbki Syonu i Jej krewnej, piękny niebieski koloryt sukni, postać Zacharyasza i Józefa, słowem cały obraz spłukany, stoi jakby w pół cieniu.

I jak nie boleć nad dziełami sztuki, gdy one bardzo a bardzo marnieją. Godziż się niweczyć pracę, która trawi siły artysty i duchem się jego karmi?—Odpowiedzmy na to pytanie i uderzmy się w piersi, bośmy wielce zawinili.

Mówimy, wieki zdobywają się na geniusz jeden,—prawda, i nikt temu niezaprzeczy;—ale jaki stąd wynik? Jeżeli wieki czekać trzeba na kilka dzieł szacownych, po dwakroć drugie wieki przechowywać powinny pomniki geniuszu; i jak anioł z mieczem ognistym bronił wstępu do raju pierwszym naszym rodzicom gdy zgrzeszyli, tak również i my bronić winniśmy obrazu od profanacyi nieudolnej ręki, która jednem pociągnięciem niweczy dzieło wiekowe.

Dlatego to, dzięki niech będą komu przynależy za oszczędzenie dwóch znakomitych dzieł sztuki: dziwnie pięknego, ożywionego całą siłą odwiecznej twórczości obrazu Boga Ojca, i drugiego zdjęcia z krzyża,—widząc bowiem przekształcenie innych obrazów, w tymże kościele, drżeliśmy o te dwa utwory, i mieliśmy się o co niepokoić. Pośmiertne bowiem rysy Chrystusa, tchnąca miłością twarz ukochanego ucznia Jana, jestto bowiem jedyna tęskna myśl po stracie Pana swojego, Magdalena, a nakoniec pełna wzniosłego pokoju w nieporównanej swej boleści, stojąca pod krzyżem Matka Zbawiciela; są niejako uprzytomnieniem, tej dziwnie wielkiej chwili, której daremnie szukać będziemy podobnej w tegoczesnych artystach.

Gdy tak wiele nam chodzi o zachowanie tego co prawdziwie jest pięknem, co rozkosz budzi w duszy, jakże pożądaną byłoby rzeczą urządzić komitet któryby wyłącznie czuwał nad dziełami sztuki, bez którego woli ani jedno dzieło niemogłoby zostać oddanem do odnowienia. O! ileżbyśmy jeszcze uratowali arcydzieł od zagłady. Lepiej kawałkiem białego płótna otrzyjmy pył wiekowy, aniżeli nieumiejętnie rozrobioną farbą szpecić mamy dzieło znakomitego mistrza i urągać geniuszowi jego, w którym drga życie i siła.

Gdyby komitet wystawy sztuk pięknych zechciał jako wierny ich przedstawiciel, gdyby mówię zechciał urządzić strażnicę czuwania nad tem co nam wieki przekazały w spadku, jakąż prawdziwie chrześcijańską wyrządziłby nam przysługę.

Boć piękny obraz, to słowo żywe, to myśl święta rodząca zachwyt w duszy, to dzwon, który wiernych na modlitwę zwołuje. Przed pięknym obrazem lub statuą, godzinami stać można, jak tego miałam dowód patrząc na rzeźbę Matki Boskiej Bolesnej w kościele Ś-go Germana w Paryżu; odchodziłam i wracałam, i z boleścią żegnałam się z tem arcydziełem; lub wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego w kościele Panny Maryi w Gdańsku—stoisz przed nim, i zapytujesz sam siebie, czy Pan już skonał, czy kona, oczekujesz chwili poruszenia się jeszcze piersi ostatniem może tchnieniem, i tego wielkiego słowa *Consummatum est.*

Albo obraz świętego Dzieciątka nad którem czuwają Marya z Józefem, — w oddaleniu widać pastuszków nadchodzących z darami, a w obłokach aniołów śpiewających hymn radosny. Dominującą jednak postacią jest tu święte Dziecię, uśpione snem słodkim, a mimo to, pry tym cudnie miłym pokoju, na ślicznych usteczkach już wyryta boleść przyszłych cierpień Odkupiciela rodu ludzkiego. Obraz zrobiony przez Holzmaira w Monachium, znajduje się w kościele w Lengris w Bawaryi.

Albo obraz Ukrzyżowania—chwila w której dokonało się zbawienie ludzkości. Po prawej stronie obrazu artysta przedstawił Matkę Najświętszą, po lewej świętego Jana. Nie mogłam się dosyć napatrzeć na tę wielką w boleści swej niewiastę. Twarz wyniszczona straszliwem cierpieniem, oczy wypłakane, wlepione w zmarłego Syna, ręce zaciśnięte w świętym zachwycie boleści, postawa pełna pokoju, sło-

[1] Ta gra kolorów wkrada się i przy odnawianiu świątyń, stanowiąc przykrą dysharmonią z pierwszą ozdobą domu bożego, którą jest powaga.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

(P.)—W zeszły czwartek odbyło się w Teatrze Wielkim pierwsze przedstawienie „*Krytyków*" pięcioaktowej komedyi wierszem napisanej przez ś. p. Jana Chęcińskiego. Nad tem dziełem, które miało być ostatnim jego utworem, zmarły poeta pracował lat kilka i wykończył je ostatecznie zaledwie na parę tygodni przed zgonem. W krytyczną ocenę tej sztuki, wdawać się tu nie będziemy, dla powodów, które nasi czytelnicy, mając na względzie bliskość łączącego nas ze zmarłym stosunku, niezawodnie uznać zechcą za słuszne. Natomiast możemy tu powtórzyć niektóre zdania i poglądy, jakiemy niejednokrotnie słyszeli o tej komedyi z ust samego jej autora. Przedewszystkiem znał on dokładnie szczupłość ram, w jakich zamknął treść swojej sztuki. Wiedział, że tytuł komedyi dawał prawo oczekiwania od niej szerokiego traktowania *krytyki* nietylko teatralnej. Pomimo to jednak wolał pozostać w umyślnie zacieśnionym zakresie, a każdą z postaci, przedstawiających jeden z kierunków tegoczesnej *tak zwanej* krytyki, o ile można dokładnie wykończyć, aniżeli, przeniósłszy rzecz dramatu na szersze pole, ograniczyć się z konieczności na lekkim tylko naszkicowaniu wielu różnorodnych charakterów. Dalej pewnym był, iż spotka go zarzut, że wygłasza twierdzenie, jakoby krytyka wcale nie istniała i jakoby kompetentnym sędzią, w rzeczach oceny dzieł sztuki, była tylko publiczność. Istotnie autor zdanie to wypowiedział w akcie trzecim przez usta swego bohatera, ale w akcie piątym, ten sam bohater, *Ciernicki*, doznawszy skutków, jakie wywiera drukowane słowo, odczuwa jego potęgę i doniosłość, i przyznaje, iż zdanie dziennikarzy więcej znaczy aniżeli sądził. Znał tę potęgę i sam autor; cenił i szanował poważną, rozumną i sumienną krytykę i przyznawał jej to znaczenie, jakie w istocie posiadać winna, co wreszcie w sztuce swojej wypowiedział przez usta: *Żądełka*, *Jadwigi* i *Stanisława*. Z drugiej jednak strony bolały go wybryki owych pseudo-krytyków, co to według słów Fredry, białe dotąd swe pióra, zaczerniwszy dla osmagania drugich, wprzód uczą pisać innych nim nauczą siebie; bolał go upadek dziennikarstwa, nie mającego nieraz odwagi wystąpić szczerze i otwarcie lecz rzucającego z pozą płotu ostre pociski, zaprawne żółcią szykany i.... *paszkwilu.*

Zapewne przeciwko temu ostatniemu wyrazowi zaprotestujecie szanowni czytelnicy, podobnie jak to uczynili niektórzy, z recenzentów piszących o tej komedyi. My jednak wyrazu tego nie cofniemy—owszem gotowibyśmy położyć na nim nacisk z tego mianowicie względu, że w całym ustępie o paszkwilu, ostro wypowiedzianym w sztuce dopatrujemy się jakby przeczucia ze strony Chęcińskiego, do którego choroby i przedwczesnej śmierci przyczynił się właśnie paszkwil, wymierzony przeciw niemu przez jedno z postępowych pisemek, nie cofających się przed żadną bronią, gdy chodzi o dotknięcie nienawistnej mu z jakichbądź powodów osobistości. A broń to wygodna, bo strzały z poza płotu bywają dosyć celne, i ani się od nich uchronić, ani z obroną, ani z żądaniem zasłużonej kary wystąpić prze-

wem postać stojąca pod krzyżem, odpowiada w całości, uroczystej a dziwnie wielkiej chwili, która grobową ciszą całą okryła naturę, chwili odkupienia rodu ludzkiego na Kalwaryi. Tę wielką boleść uosobioną przedstawia tu owo wzniosłe: Stabat Mater, w którem jest słowo i pieśń i życie. Obraz ten znajduje się w kaplicy zamkowej Barona Eichthal w Tegernsee w Bawaryi.

Gdy tak szacowne są pomniki dzieł sztuki, gdy taki zachwyt budzą w duszy naszej, jakże oględnie czuwać nad niemi przystoi, jak nie byle jakiej powierzać je ręce; bo praca co się z ducha poczyna, i nim do końca się żywi, pod każdym względem poszanowania jest godną, i nietykalną ma pozostać!

Oduczmy się więc raz na zawsze przekształcać to, co przekształcenia niepotrzebuje, nie bądźmy tak pochopni do odnawiania a raczej niweczenia dzieł sztuki, przyznajmy sobie, żeśmy wielce zmaleli w poczuciu religijnem, i tej małości nie narzucajmy sztuce, bo tu dla małych miejsca nie ma.

Czekajmy, może po wieku niewiary, nastanie wiek promienny tem światłem nadprzyrodzonem, przy którego odblasku powstaną dzieła wzniosłe, podobne do dzieł ubiegłych wieków,—pamiętajmy, że struna małej wiary, nigdy wielkiej nie zrodzi pieśni.

Więc jak świętą spuściznę przechowujmy dzieła sztuki bez skażenia, i na wzór głodnego który pragnie zasilić się kawałkiem chleba, pragnijmy wprowadzenia w czyn rzuconej tu myśli, czuwania nad dziełami jak dobra matka nad małą dzieciną; tembardziej czuwajmy, że głód nasz duchowy nieznajduje pokarmu w teraźniejszych tworach, w dziedzinie sztuki religijnej. *Julia C.*

Z NAUK PRZYRODZONYCH.

Zarys rozwoju pojęć naukowych.

(Dokończenie).

Teorya o Somosea odrodzoną została dopiero w XVII wieku przez Gassendi'ego, który był współczesnym Hobbes'owi i Kartezyuszowi. Gassendi zrazu pierwszą przyczynę wszech rzeczy uznaje w Bogu, następnie przypisuje atomom znane prawa mechaniki, i wyprowadza z nich wszelkie zjawiska życiowe. Według jego opinii, Stwórca ziemi i wody, roślin i zwierząt, wyprowadza nieskończoną liczbę atomów, będących nasieniem wszech rzeczy. Zasada jednak zmian zachodzących w świecie organicznym tkwi według niego w samej materyi. Śmiałością myśli przechodzi Gassendi nawet Darwina, odłącza bowiem Stwórcę od wszechświata, duszę od ciała któremu przypisuje wpływy wszechwładne. Według niego zboczenia umysłowe, są zależne od mózgu—choroby umysłowe są chorobami mózgowemi. Jestto w pewnej mierze pogląd jaki rozwinął w naszych czasach Maxwell.

Doktryna atomowa w części lub całości przyjętą została przez Bakona, Kartezyusza, Hobbesa, Lokke'go, Newtona i Bayl'ego, oraz przez ich następców. Po nich Dalton wprowadził prawo chemiczne nadające mu wielkie znaczenie. Dziś William Thomson oznacza wymiary atomów,a raczej granice między któremi ich wielkość oscyluje.

W 90 lat po Gassendim, wystąpił biskup Butler z *hypotezą narzędzi cielesnych*, w słynnem naówczas dziele: *Analogy of religion.*— Znaczenie systemu nerwowego i mózgu jest naturalnie w niem zupełnie pominięte, a raczej szanowny prałat całkiem odrzuca ich wpływy na życie.

Hypotezy nowożytne opierają się na metodzie doświadczalnej ona to w połączeniu z indukcyą, wydała bogate plony spostrzeżeń. Na czele myślicieli w przyrodoznawstwie występują w naszym wieku Huxley, Vogt, Moleschott i Darwin. Każda wielkiej doniosłości teorya, potrzebowała długiego czasu, zanim wyłoniła się z ciemni. Trzydzieści trzy lat rozmyślał Kopernik nad swem dziełem; Newton piastował teoryą powszechnego ciążenia lat dwadzieścia i wystąpił z nią dopiero wówczas, gdy Leibnitz zaczął nad nią rozmyślać. Darwin krył się z teoryą pochodzenia gatunków, lat dwadzieścia dwa i bezwątpienia nieznaną byłaby ona nam dotąd, gdyby Wallace dochodząc do tychże samych wyników, nie zamierzał ogłosić ich drukiem. Pierwszym apostołem nowej teoryi był Huxley uczony angielski.

Rozpatrzmy się nieco w teoryi Darwina. Nikt nie zaprzeczy, że dziecię nigdy nie jest całkiem podobnem do rodziców. Jest to pierwszy fakt zmienności gatunków. Darwin ze sztucznej hodowli gołębi, królików i innych zwierząt, wytworzył najrozmaitsze odmiany— okazał, że w organizmach panuje rozmaitość utrzymująca się następnie w pewnej mierze pod wpływem prawa dziedziczności. Niemniej znaczącym jest wpływ wyboru naturalnego.— Z niezliczonych zarodków powstają rośliny i zwierzęta, lecz pewna tylko ich liczba może utrzymać się przy życiu w walce o byt, a mianowicie ta, która najlepiej stosuje się do otaczającego ośrodka. W tej walce organa korzystne dla bytu osobnika utrzymują się, niekorzystne zaś znikają. Wybór naturalny działa przez zachowywanie lekkich zmian otrzymanych drogą dziedziczności, z których każda jest zdolną do utrzymania się. Niepodobna zaprzeczyć, że wyrazistsze zmiany mogą być wytworzone drogą wyboru, w wielkich upływach czasu.

Dzieło Darwina obejmuje mnóstwo faktów ciekawych. Dość nam tu przytoczyć zapładnianie storczyków za pośrednictwem pszczół, przenoszących na kwiaty żeńskie, pyłek nasienny. Darwin bynajmniej nie utrzymuje aby ów wybór naturalny nie ulegał krytyce—zna on jego słabe strony i sam je ze szczerotą wykazuje. Teoryi jego możemy stawiać bardzo wiele zarzutów i po części uzasadnionych, nie idzie przecież zatem, aby ona traciła na swej wartości, gdyż w każdym razie wyjaśnia przedziwnie zjawiska życia.

Nie zaprzeczają jej tego, nawet tacy przeciwnicy jak Agassiz, który wyrzekł do Tyndalla, te słowa: „Wyznaję, że nie spodziewałem się, aby teorya pochodzenia gatunków była przyjętą *przez najdzielniejsze umysły naszego wieku.*" Jakże śmiesznemi w obec tych słów wydają się ci, którzy utrzymują, że darwinizm jest przystępnym tylko dla *głów tępych i płytkich umysłów.*

Niemniejszego rozgłosu używa teorya jedności sił, którą popierają liczne fakty. Siła równie jak materya, nie ulega zniszczeniu, lecz tylko przekształca się, przeobraża, jak to mamy przykład na cieple przetwarzającem się w pracę. Świat roślinny czerpiący swe pożywienie ze źródeł dla nas niewidzialnych, nie rodzi przecież ani nowych sił ani nowej materyi. Materya jego pochodzi po większej części z powietrza, przetworzonego w tkankę roślinną.

Siła jest przetworem siły słonecznej. Siła twórcza zwierząt, pochodzi z palenia się pokarmów przez nie przyjmowanych—czynność każdego osobnika fauny, pochodzi z czynności molekułów go składających. Mięśnie są magazynami siły a to do chwili, w której nerwy nadadzą jej popęd, i sprowadzą kurczenie się mięśniowe. Oznaczono szybkość czynników nerwowych, która jest, stosunkowo biorąc, mniejszą od hyżości lotu orła.—Wszystko to jest zdobyczą fizyki—anatomia i fizyologia porównawcza, niemniej poczyniła znaczące postępy, a psychologia zaczyna wchodzić na drogę

ciwko nim nie podobna, bo piszący ukrywa zwykle myśl swoją pod postacią przezroczystej powiastki lub komedyjki, i łatwo się z niej zdoła wytłómaczyć słowami *Grzechotki*, który odpowiadając *Jadwidze*, na jej zarzut, że człowiek dotknięty potwarzą, jakby piorunem zgruchotany, na miejscu paść może, mówi:

........my na tak tragiczne następstwa nie li-
(czym;
Tam przecież nie ma nazwisk, tylko fakt sta-
(wiamy,
Więc to tylko aluzya, alegorya plamy.

Wreszcie spotkał autora *Krytyków*, zarzut schlebiania publiczności, mianowicie w ustępie gdzie powiada, że najkompetentniejszym sędzią jest rozumna część ogółu. I ten zarzut przeczuwał Chęciński i nieraz odzywał się do mnie: „Wiem, że się do tego przyczepią, ale czyż nie mam słuszności. Pokażcie mi przykład aby się wszyscy piszący, powołani i niepowołani zgodzili na jedno zdanie, a są przecież przykłady, że wszyscy niemal w sądzie swoim się pomylą, za dowód czego posłużyć może zachowanie się krytyki względem dawniejszych prac Fredry lub względem pierwszych wystąpień Dawisona. Tymczasem publiczność, jeżeli nie zawsze pozna się na wartości dzieła, to zawsze prawie, choćby instynktownie ją odczuje." Wobec tak stanowczych i przekonywających dowodów, trudno mi było nie zgodzić się z autorem, zwłaszcza, że prawdę słów jego stwierdziło świeżo powodzenie kilku sztuk odegranych w ostatnich czasach na naszej scenie a przez znaczną większość piszących sprawozdania teatralne, odsądzonych od wszelkiej wartości.

Celem komedyi i jej dążnością nie było wykazanie, jak błędnie sądzą niektórzy recenzenci, że krytyki nie ma, ale raczej, że nie każde, nieraz nawet świetne pod względem stylu wypracowanie reportera na miano istotnej i poważnej, a na znajomości rzeczy opartej krytyki zasługuje.

Takiemi poglądami na ostatnią swoję sztukę dzielił się z nami autor *Szlachectwa duszy* a my z naszej strony uznajemy za stosowne podzielić się niemi z czytelnikami.

Gra artystów była w ogóle wyborną. Wszyscy oni bez wyjątku, role swoje traktowali *con amore* i wszyscy też z zadania swego godnie się wywiązali, a pani Niewiarowska oraz panowie Ostrowski, Tatarkiewicz i Szymanowski stworzyli z ról swoich typy doskonałe, pełne życia i prawdy.

Kończąc tę wzmiankę wypada nam jeszcze zaznaczyć, że publiczność zapełniła już cztery razy salę teatralną, darząc *Krytyków* coraz lepszem przyjęciem. Dochód z pierwszego przedstawienia tej komedyi, zwiększony znacznie hojnemi naddatkami, Dyrekcya Teatrów, gotowa zawsze do spełnienia szlachetnego czynu, gdy idzie o uznanie zasług i przyjście z pomocą cierpiącym, przeznaczyła na rzecz pozostałych po Chęcińskiem dzieci.

We środę, dnia 17 b. m. odbyło się posiedzenie ogólnego zgromadzenia spółki jedwabniczej, istniejącej w Warszawie od lat dwudziestu. Na zgromadzeniu tem miała być roztrzygniętą ważna dla spółki kwestya, mianowicie, czy ją rozwiązać należy, czy też postanowić dalsze jej egzystowanie, wynalazłszy potrzebne do tego środki. Po odczytaniu przez pana Noskowskiego sprawozdania z czynności komisyi rewizyjnej, wyka-

nowe, które z czasem wiele dotąd tajemniczych zagadnień wyjaśnią. Przed dwudziestu laty Herbert Spencer, opierając się na fizyce i fizyologii, wydał pierwsze, dzieło zajmujące się badaniem ducha ludzkiego i zdolności umysłowych zwierząt. Wundta *wykłady o duszy zwierzęcej*, są owocem głębokiej analizy. Według Spencera życie jest nieustannem przystosowaniem stosunków wewnętrznych do zewnętrznych. Spostrzeżenia Spencera nad wpływem zmysłu dotyku na rozwój inteligencyi, są uderzające. Dotykanie według niego, jest że tak powiemy, językiem macierzystym wszystkich zmysłów. Papuga jest najwięcej inteligentną z ptaków, u niej też czułość dotyku jest największą. Za pomocą tego zmysłu, nabywa ona świadomości nieprzystępnej dla innych ptaków, u których nogi nie mogą rąk zastępywać. Słoń jest najpojętniejszym z czworogów, a podstawą tej jego pojętności jest rozwój zmysłu dotyku w niezmiernie wrażliwej jego trąbie.— Z tychże samych względów, zwierzęta należące do rodziny kotów, są inteligentniejsze, od opatrzonych kopytem, z wyjątkiem konia posiadającego bardzo czułe wargi. Spencer stosuje to spostrzeżenie i do człowieka, a nadto rozwój niektórych zdolności istniejących w istocie ludzkiej w stanie utajonym, czyni zależnym od rozwoju pewnych organów lub ich części. Tak naprzykład w gruczołach Apostoła, upatruje on siedlisko rodzącego się natchnienia poetyckiego.

W skutek przyzwyczajenia i wprawy, człowiek, powiada Spencer, odbywa niektóre czynności automatycznie, jakkolwiek te zrazu potrzebowały wiele namysłu i pokonania wielu trudności. I tak dziecię uczy się z mozołem składania liter, człowiek zaś dorosły czyta z wszelką łatwością. Oko i ręka lub ucho, porządkują się również z wielką zgodnością—dość tu przytoczyć mistrzów w grze bilardowej lub artystów muzycznych. Inteligencyą człowiek odziedzicza według Spencera po rodzicach. Zdarza się niekiedy powiada on, że zdolności uśpione w dzieciństwie, przebudzają się w wieku późniejszym z wielką siłą. Newton chodząc do szkoły elementarnej nie celował wcale w naukach, dopiero w ośmnastym roku życia, kształcąc się w szkole Cambridge, okazał niepospolite zdolności w rozwiązywaniu najtrudniejszych zagadnień geometrycznych. Mózg jego widocznie rozwijał się powolnie.

Darwin i Spencer dotykają zaledwie kwestyi pierwocin życia, Haeckel natomiast wyprowadza drzewo genealogiczne ludzkości, i przyjmuje hypotezę samorodztwa, będącą dziś jeszcze wielkim znakiem zapytania.

Virchow równie jak Tyllor naznaczają granice wiedzy, przeciwnie Du Bois—Reymond, Büchner, a nawet Tydall,—wierzą w postęp na wszelkich drogach nie pogardzają hypotezami. „Przekładam ruch, powiada Tyndall, nad stagnacyą, rwący potok strumienia, nad znieruchomione bagnisko. W pierwszym razie znajduje życie i nadzieję, w drugim nic obiecującego. Nauka ma prawo czynić nieograniczone poszukiwania w kwestyach obchodzących tak ją jak i ludzkość. Poglądy Darwina i Spencera są dziś z pewną niechęcią przyjmowane, równie jak niegdyś były Lukrecyusza i Giordano Bruna, któż z nas jednak może zapewnić, że poglądy te nie ulegną zmianom, i któż zaprzeczy, że nie prowadzą do postępu? Czy one są prawdziwe czy fałszywe mamy prawo roztrząsania ich z całą swobodą.“

Świat wiedzy obejmuje nietylko Newtona lecz i Szekspira—nie tylko Boyle'a lecz i Rafaela, Beethowena równie jak Kanta, obok Darwina pomieszcza Carlyle'a. Wzięte razem ich prace tworzą dopiero całość, której składowe części wzajemnie się dopełniają i jednoczą.

Umysł ludzki podobnym jest do pielgrzyma poszukującego prawdy i pragnącego zespolić naukę z religją.—Jedne drogi prowadzą go w jasne szlaki, inne wiodą na manowce, które jednak porzuci jeżeli wolnej myśli nie będą z jednej strony krępowały powijaki bigoteryi, z drugiej ścieśnienia materyalizmu. Wtedy chmury zasłaniające nam jeszcze horyzont wiedzy ustąpią i znikną, a światło promienne rozproszy ciemności.

Wincenty Niewiadomski.

Korespondencya „Ogniska Domowego.“

(z zagranicy).

Kraków *w lutym.*

Dziwno iż mimo *krachu*, bankructw, i mnóstwa przeróżnych niepowodzeń na polu finansowem, konstatowanych prawie bez przerwy od lat trzech w naszym grodzie, mieliśmy jakąś ochotę popląsać w ciągu właśnie co zgasłego karnawału. Czyniliśmy nawet ową uciechę z animuszem, którego dalibóg dla innych spraw nie mamy. Co żyło lub miało pretensyą do życia, tańczyło, kręciło się, dekoltowało, frakowało lub.... ziewało, byle wśród wrzawy balowej, wśród owej sztucznej, upajającej atmosfery.

Od szczegółowej dni tych historyi, uwolnił mnie wielce szanowny kolega, wasz, mili czytelnicy, równie uniżony sługa..... korespondent lwowski; Lwów bowiem bawi się zupełnie tak samo jak Kraków, epidemia karnawałowa w ten sam sposób występuje w starej mieścinie nadwiślańskiej jak i w nadpełtwiańskiej stoliczce, słowem Lwowianin ziewający na maskaradach krakowskich, popychany na balu publicznym, dajmy na to w sali hotelu Saskiego, pracujący gorliwie około zemocyowania sześciu córeczek gospodyni, wyprawiającej „tańcującą herbatę“, prostujący się w obszernych komnatach arystokratycznych domów—mógłby ze spokojem powiedzieć: *C'est to ut comme chez nous!*

Akcya zostaje tą samą, rzecz cała rozbija się tylko o zmianę dekoracyi. Próbujmy zmienić. I tak: sala teatralna redutowa lwowska, zmienia się na salę krakowską—cóż widzimy? tłum przerażająco-idyotycznych masek, złożony z chrzczonych żydów nie łobzowskich ani krakowskich, niemych pulcinellów, nieubranych debarderów... Za niemi łańcuchem wlecze się męska młodzież, który to ruch wykonywany z przykładnem poświęceniem nazwaćby można dobrowolną froterką.... Lecz prawda—nie zapominajmy się, jest różnica między maskaradą krakowską a lwowską. Oto ta: maskarada lwowska ma tłum w kaloszach i futrach, podczas gdy na krakowskiej, zobowiązano wchodzących do przekonania się o użyteczności kontramarkarni i skłoniono ich do odłożenia tych pożytecznych utensyliów. Ta niedżentelmeńska, zdaniem salonowych krakowiaków, innowacya odstraszyła wielu, którym rozłąka z rzeczonemi częściami garderoby, wydała się zbyt bolesną.... Mniej więc futer, kaloszy, sprzedanych biletów—co może spowoduje zarzucenie tych śmiesznych nad wyraz zabaw.

Przechodzę do balów publicznych. Nie umiejąc bawić się w kółkach domowych, kupujemy chętnie bilet na bal publiczny, i tańczymy zwykle na jakiś cel dobroczynny. Więc medycy, więc prawnicy, więc techniczna młódź urządza na korzyść swych stowarzyszeń bale ufając skwapliwości i ofiarności Krakowian. Dobrze jest, myślisz mój czytelniku iż istnieje podobna pomoc bratnia, młódź uboższa będzie mogła jako tako popchać biedę, dźwignie się powoli... dobrze jest powiadam także i ja, chciej jednak zobaczyć odwrotną medalu stronę... Przekonaj się, iż młodzież zaczyna lek-

---

zującego przyczynę upadku spółki, i jako sprawcę tego upadku obwiniającego głównie dyrektora, a pośrednio radę nadzorczą—odczytanym został list barona Dangla, miłośnika i protektora jedwabnictwa, który stanowczo przechylił szalę losów spółki, i znakomitą ofiarą, podparł jej egzystencyą na lat sześć, przez które, mamy nadzieję, spółka sama sobie zapewnić dalsze trwanie będzie w możności. Pan Dangel proponuje aby mu spółka oddała w używalność plantacyą drzewek morwowych istniejącą na Czystem, w zamian czego, obowiązuje się ogrodzić całą plantantacyą niezbędnym dla utrzymania porządku parkanem, i uorganizować rozwijalnię kokonów, co się ma wypełnić pod okiem rady nadzorczej. Za tę ofiarę pan Dongel zastrzegł sobie po sześciu latach pewną ilość akcyi. Rachunki spółki, aż do 1875 roku zamazane licznemi zaległościami, oczyścili sami członkowie rady, wyłożywszy potrzebny na to kapitał z własnej kieszeni—tak tedy spółka na nowo powołaną została do życia, w ciągu którego powinnaby korzystać z nabytego podczas dwudziestoletnich niepowodzeń doświadczenia, a przy dobrych chęciach kierowników i bacznem śledzeniu wszystkiego, co się do pożytku stowarzyszenia odnieść może, nietylko będzie wstanie powetować dotychczasowe straty, ale rozwinąwszy się, da możność otrzymania zysków, przyczyni się do rozkrzewienia w kraju gałęzi przemysłu i gospodarstwa wiejskiego, mogącej stanowić w przyszłości dość silną jego podporę.

W dniu 14 b. m. zmarł w Warszawie, Jacenty Sachowicz, Kustosz tutejszego Muzeum Sztuk Pięknych, artysta malarz. Sachowicz pierwsze studya odbył pod kierunkiem profesora Blanka—następnie udał się zagranicę—gdzie dalej z zamiłowaniem poświęcał się studyom malarskim. Zwiedziwszy najcelniejsze galerye europejskie, powrócił do Warszawy, gdzie oddał się cichej pracy, nie biorąc się do tworzenia oryginalnych obrazów, do czego brakowało mu talentu, ale z zamiłowaniem poświęcił się restaurowaniu starych obrazów zniszczonych przez czas lub niedbałość posiadaczów. Zadanie odnowiciela starych obrazów nie jest tak łatwem, jak na pierwszy rzut oka wydać się może. Nie dosyć jest nałożyć na spłowiałe płótno nową warstwę farby i pociągnąć ją werniksem, aby obraz był odrestaurowanym. Do tego potrzeba znać mistrza, którego obraz przychodzi odnowić, a znać go nietylko z rysunku i ze sposobu używania światła i kolorów, ale wniknąć w jego charakter malowania, zapoznać się z ideą jaką mógł mieć artysta tworząc obraz, który po kilkudziesięciu, a nawet i kilku setkach lat przychodzi odnowić. Zalety te w wysokim stopniu posiadał Sachowicz, to też obrazy powierzone jego opiece, wychodziły z pod jego ręki odnowionemi, ale nie przerobionemi, jak się to poczęści dzieje z dziełami powierzonemi ludziom nie znającym tego, czego się podejmują. Wielu miłośników sztuki zawdzięcza Sachowiczowi zachowanie prawdziwych arcydzieł malarskiej sztuki, które czasi okoliczności zniszczyły. Jako kustosz muzeum sztuk pięknych, przyprowadził je do stanu, w jakim się ono obecnie znajduje. Niestawszy się sam mistrzem, stał się opiekunem mistrzów, których dzieła starał się zachować od zagłady —

ceważyć pracę, swym siłom nie ufa, ogląda się za obcą pomocą, marnuje czas i zdrowie na wyprawianiu podobnych publicznych awantur... Pan akademik, czy też pan technik, na kilka tygodni wprzód rzuca seksterna a włazi natomiast w frak urzędowy i poczyna grać rolę „komitetowego“ na jego głowie sala, gospodynie, porządek tańców, bilans, garderoba etc. etc.: pandekta tymczasem butwieją, linia porzucona w kącie paczy się, a poczciwi poeci łacińscy i historykowie śpią snem wielkim, nie zamąconym najlżejszym szelestem. Więc nie tak dobrze jest—jakby się na pozór wydawało....

Inne instytucye spieszą się także z wydawaniem balów.—W sali hotelu saskiego, w ostatni poniedziałek mieliśmy bal na korzyść budowy szpitala „dla dzieci.“

Prosperują także i pikniki, zabawy, na które młodzian wkupuje się monetą a panua półmiskiem napełnionym mięsiwem lub słodyczą. Na jednym z nich, dostępnym tylko dla wesołych cór Melpemeny (rangi pośledniejszej) zaszedł skandalik. Aktor i hrabicz byli zapaśnikami, rozstrzygnęły pistolety, strzelano głośno—w bok, dano sobie buzi, no i koniec. Wielkiej sensacyi ta *afera* (żargon naszego towarzystwa) nie sprawiła, przyzwyczajeni bowiem jesteśmy, iż co karnawał, to i strzał...... jak było zeszłego roku, tak było i teraz, tak będzie i potem....

Wywiązując się wiernie z posłannictwa reportera karnawałowego kończę rzecz na kuligu. Kulig, wrzawliwy i głośny. Wszystko tu było jak należy, typowych postaci nie zabrakło; nawet wiersze i mowy były—z pod stempla Anczyca.

A teraz cisza, post, umartwienie..... *Sursum corda.* Kościoły pełne, wielkopostne medytacye już się rozpoczęły... Spokój owiał także balujących. Zamiast zabaw będą pewno odczyty, prelekcye, widowiska mniej drażniącej natury. Podwoje jednego z tutejszych salonów otworzono dla arystokracyi rodu i pióra. Będą to literackie podobno wieczory, a także wskrzeszone zostaną obiady czwartkowe..... *Si! si!*

(*D. c. n.*)

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Mianowicie pewnej nocy, zdrajcy z murów tego bliżej nieznanego zamku spuścili sznury i po nich wciągnęli Pomorzan, wciągniętych przechowali, aby z przechowanemi o brzasku dnia wpaść na resztę załogi o niczem niewiedzącą i podstępnie ją wymordować. Naraz zjawia się Pomorzanom „ktoś“ na białym koniu, zbrojny, z orężem dobytym, niby wcielenie pogańskiego ich bożka Trygława, a raczej połabskiego Swantewita nocą i konno na swych wrogów wyjeżdżającego. Widmo, przerażonych swem zjawieniem się Pomorzan, z murów na dziedziniec a z tego za mury zamku wypędza. „Tak krom wątpienia, kończy swą powieść Gallus, grododzierżcy przez czyn obrony sławnego męczennika Wojciecha od grożącej im śmierci wyzwoleni zostali“. Obraz ten, jak każden przyzna chętnie, zgoła nie odpowiada historycznemu charakterowi Prus i Czech apostoła. Musiemy jednak z drugiej strony przypomnić, że do takiego wojowniczego symbolizowania działalności Ś-go Wojciecha, już Bruno kwerfurcki, drugi apostoł prusaków wschodnich dał powód przed 1009 r. On to bowiem dopatrywał się w imieniu swego poprzednika Wojciecha „uciechy wojów“ czyli pociechy wojowników. Ten to etymologiczny wykład, poczerpnięty zapewne z ust polskich, najlepiej nam wyjaśnia jakim sposobem męczennik katolicki, walczący krzyżem i słowem, i raczej ofiara swej gorliwości, nie obrońca towarzyszy, mógł przywieść na myśl jakieś rycerskie myśli, i im gwoli spleść się z wspomnieniami rycerskich także, za swą cześć walczących, bogów pogaństwa słowiańskiego.

Jak się ta postać apostoła Prusaków głęboko wryła w pamięć ludu i tam dziwnie zmięszała z szczegółami czysto mitycznemi (z walką mianowicie bohatera z „wężami“ „smokami,“ to jest sarkanami, po czesku: zmeami), dowodzą różne szczegóły o ś-tym Wojciechu opowiadane w Rudzie pod Wieluniem, kędy także przebywa „koń skrzydlaty“ zwany Wideradz, gdy w niedalekim Ostrowie, miał do boju z poganami podbudzić Kazimierza-Karola I. (Odnowiciela) rycerz konny w bieli, na białym koniu, z białą chorągwią. Istne powtórzenie legiendy Gallusowej o rycerzu Wojciechu. Powiedzielibyśmy niemal, że Wideradz (Witeradz) jest może „radością“ jeżeli już nie wojów, to „Wojtka,“ jak opis męczeństwa nazywa apostoła.

Niedość na tem. Stróż skrzydlaty zagród wioskowych, i czyściciel błót sąsiednich—zaciąganiem koła na drzewa lub dachy, zapraszany obrońca od ognia nieba (piorunów), lub ziemi; dawca życia bo przynoszący dzieciom ze studni lub jeziora braciszka lub siostrzyczkę, ptak nasz rodzinny; jednem słowem—bocian od owego Wojtka z opisu męczeństwa św. Wojciecha, wziął swą nazwę. W słowiańskiem narzeczu dotąd bocian nosi nazwę strka, podobnie jak w starosłowiańskim, lubo w tym ostatnim użyta jest ta nazwa raczej na oznaczenie łabędzia[1]). Dom Döninów osiadłszy w Skrzynnie pieczętował się także łabędziem—z podobieństwa Skrzynna do strka, możnaby myśleć, że i w polskiem niegdy bocian zwał się strkiem, skąd poszła przymiotnikowa nazwa włości S(t)krz-ynno zamiast S(t)rkinno[2]). Bądź jak bądź zresztą, jeszcze za Klonowicza czasów;

Choć w rewerendzie niewidzisz kapłana,
Jednak *zów księdzem Wojciechem bociana.*

Najczęściej też bociana, boćkiem, Wojtkiem dotąd zowią. A gdy zauważymy, że tytuł „księdza“ tak dawano biskupom, jak „pana“ bez innego dodatku kasztelanom—spostrzeżemy, że jeszcze w XVI wieku wiadomem było, że bocianem jest ksiądz, czyli (tak zwany przez poważne źródło) biskup Wojtek (zabity 997 r.). Nie miejsce tu dobadywać się możliwych pobudek takiego związku myśli; (*asociatio idearum*) wystarcza nam fakt widoczny, że nasz bociek wioskowy, mnożyciel niejako rodzin, wziął miano od pobłażającego czeskiej Magdalenie, (na wzór Mistrza) apostoła Chrystusa, i że tak, gwoli dziejom i podobieństwu dźwięków przezwany, bociek - Wojtek zatracił ze szczętem dawniejsze, spólne u Słowian (strk) i Germanów (storh) nazwanie, [3]) pod wpływem wspomnień o biskupie Wojtku.

Mimochodem zaznaczamy, że dotąd liczne

---

[1]) Przygoda Ledy—i Jowisza—łabędzia opowiedziane w bulgarskiem narzeczu.

[2]) W r. 1234 wieś ta pisze się Serin (Cod. Raczyń. N. 7) bez *t*. Wyrzutnia podobno nastąpiła w wyrazach Wis(t)ła, sz(t)kło, s(t)łoma i t. p.

[3]) Godne uwagi podobizny dźwięków: stracec (dzięciół po czesku) sroka, strk (bocian, łabędź), które są nazwami ptaków zbliżonych mitologicznie.

---

cichą a sumienną pracą zasłużył sobie na uznanie ogółu.—Pokój jego popiołom!

Corocznie w końcu lutego lub na początku marca, afisze zapowiadają widowisko złożone z żywych obrazów, deklamacyi i śpiewów, na dochód „*Przytuliska*,“ o którem mówiąc nawiasem, wtedy tylko coś słychać w Warszawie. W zeszłą niedzielę podobne widowisko miało miejsce w sali Wielkiego Teatru. Żywe obrazy urządzał pan Wojciech Gerson, deklamowali i śpiewali amatorowie, grała orkiestra Teatru Wielkiego pod dyrekcyą pana Quattriniego, a nadto, pani Rakiewiczowa, utalentowana artystka dramatyczna tutejszej sceny, wypowiedziała wiersz pana J. Grajnerta, p. t. „*Natura wilka ciągnie do lasu*“, którego treść jest parafrazą pięknego monodramu Syrokomli noszącego tytuł: *Natura wilka wyciąga z lasu.*

Co do obrazów, to te przedstawiały główniejsze fazy w przebiegu kilkunastowiekowym powszechnej cywilizacyi. Całość czyniła bardzo przyjemne wrażenie na licznie zebranej publiczności, która nie szczędziła oklasków tak panu Gersonowi jak i amatorom, występującym w obrazach i deklamującym wiersze napisane bądź przez Adama Pługa, bądź przez panią Teresę Prażmowską.

Wspominaliśmy już kilkakrotnie o zamiarze urządzenia w mieście naszem sali licytacyjnej. Obecnie możemy donieść czytelnikom, że projekt ten wkrótce zmieni się w rzeczywistość, i że sala albo raczej sale w dwóch punktach miasta, za dni kilka lub kilkanaści otwartemi już zostaną. Jedna z nich o ile wiemy mieścić się będzie w lokalu zajmowanym dzisiaj przez muzeum pana Gassnera, przy ulicy Nowy-Świat, druga i główny kantor mają być przy Placu Teatralnym. Widzimy stąd, iż zarząd troskliwie się starał o wybór miejscowości i że wybór ten dobrze mu się powiódł. Tę krótką wzmiankę na tem dziś kończymy i mamy nadzieję, że w przyszłej naszej dwutygodniowej kronice zanotujemy już otwarcie sali licytacyjnej, jako fakt spełniony.

Zapowiedziany I-y zeszyt „Historyi XVIII i XIX wieku do upadku cesarstwa francuskiego“ F. K. Schlossera, wyszedł już z druku. Dzieło to, posiadające znakomitą wartość, przyswojone naszemu językowi, wyszło nakładem spółki wydawniczej księgarzy warszawskich (do której należą znane firmy: Gebethner i Wolff, Maurycy Orgelbrand, Michał Glücksberg, G. Sennewald i Edward Wende), co jej za rzeczywistą zasługę poczytać należy. Rozłożenie ceny prenumeracyjnej, która wynosi rs. 16, na 24 rat miesięcznych, winno ułatwić nabycie tego dzieła, a tem samem wpłynąć na rozpowszechnienie się jego między czytającą publicznością.

pieśni o „Gąsiorze“ przypominające swą treścią przygody Ledy z Jowiszem-łabędziem (sterkiem-bocianem), zawierają, napozór bez sensu, imię „Wojtka“ (przemieniane i w „ojtam“). Tak naprzykład śpiewają na Czerwonej Rusi i Kujawach:

Z tamtej strony jeziora
lipcem jaworem
Wojtkiem za borem (lub) Wojtek za borem
jeziora
pasła panna gąsiora.
Jakżeś ci go nazwała
kiedy mu jeść dawała?
Nazwałam go *liwusiu.*
A gdzież jedziesz Wojtusiu?
. . . . . i t. d.

Wspomniane tu wyrazy i obrazy: comber, lipiec (miód), z tamtej strony jeziora, pasienie ptaka (także koni, bydła, drobiu) i t. p. szczegóły przyczyniają się do tym dobitniejszego scharakteryzowania.... małżeńskiego kolorytu tej pieśni, ile że każden z nich, odrębnie wzięty, ma związek z miłością i jej skutkami. Albowiem, jak słusznie powiedziano, płody literatury kopalnej nie są pozbawione znaczenia, choć często rażą pozornym brakiem myśli, tylko my, a często i lud sam, główny onej depozytaryusz straciliśmy klucz do tej symbolistyki i w braku żywej tradycyi musiemy go odszukiwać z pomocą porównawczych i krytycznych studyów. Prawie, że nic w tych zabytkach etnograficznej cywilizacyi nie jest daremnie powiedzianem. Wielekroć samo porównanie licznych waryantów naprowadza na trop prawdy, skażonej wymawianiem, zapomnieniem, niepojęciem. Dlatego też żaden z powyższych obrazów i wyrazów ciemnym i niestosownem dla znawcy się nie okaże. Owszem całość organiczna, wewnętrzna jedność wizerunków i myśli przejawiająca się w owej pieśni „gąsior,“ nakazuje szukać na seryo powodu wtrącenia do niej imienia „Wojtek.“ A ten powód niezabawem nam się wyjaśni, skoro pieśń tę o Wojtku-gąsiorze porównamy z powieścią o Ledzie i Strku, przezwanym Wojtkiem. Powiedzielibyśmy, że powieść ta rękopisu bulgarskiego odtwarza ten sam temat z mitologi greckiej, co pieśń nasza o gąsiorze z bogosłowia rodzimego. Wiersz zaś z Flisa wyżej przez nas cytowany o przezywaniu bociana księdzem Wojciechem, rzuca światło na czas, kiedy w pieśni lechickiej Wojtek-bocian jął zastępować ptaka fallicznego pod wpływem historycznie głośnej przygody biskupa Wojtka i czeskiej grzesznicy....

Byłoby za długo, gdybyśmy chcieli wyliczać wszystkie ślady przekształcania się różnych mytów naszych w skutek zetknięcia się ich z podobnemi, a nawet obcemi im epizodami z życia lub zgonu biskupa Wojciecha. Niemożemy jednak przemilczeć jeszcze jednego i ostatniego przykładu takiej asymilacyi. Powszechnie znaną jest powieść ludowa o Madeju, którą spotykamy u Czechów (Zemanowa katusza), Łużyczan (Lipsikulian) Kaszubów (Remiasz), Litwinów (Rumszysz) u górali na Zamagórzu w Karpatach (Krudynhop), w górach Swiętokrzyskich na Kakuninie i t. d. Jest to zbójca okrutny, w liczbie ofiar i ojca swego liczący, który darowywa życie chłopcu, idącemu do piekieł (po cerograf, lub wodę uzdrawiający i t. p.) pod warunkiem, że ten mu doniesie, jaki los go czeka po śmierci. Chłopiec uiszcza się z włożonego na się polecenia, i powiada Madejowi, że w piekle widział:

. . . . madejowe łoże,
na którem są ostre brzytwy i noże.

Takim strasznym obrazem przyszłych swych katuszy wylękniony i skruszony rozbójnik klęka wśród lasu, będącego dotychczas widownią jego zbrodni, zatyka przy sobie pałkę, narzędzie śmierci krwią tylu ofiar niewinnych przez się zmazane, i postanawia czekać w tej postawie rozgrzeszenia z rąk owego chłopca, wtedy, kiedy tenże biskupem zostanie! Czas spędzony na pokucie przez Madeja, musiał być znaczny, kiedy maczuga wyrosła w drzewo. Podanie niesie, że na niem wisiały dusze pomordowanych w kształcie jabłek. Wersya zaś przez Mickiewicza nowym rysem, niby buddyjskiego zatopienia się w myślach, charakteryzuje zbójcę-pokutnika, podając, że tak był nieczuły na świat zewnętrzny, iż pszczoły obrały sobie za ul jego uszy.

Zjawia się wreszcie biskup, ów chłopiec z piekieł dla Madeja powód do skruchy przynoszący. Znęcony jabłek zapachem, trafia na kającego się znajomego. Wśród rozpoczętej spowiedzi, z każdym nowo wymienionym grzechem, jabłka zmieniają się w gołębie i znikają. Nareszcie tylko jedno zostało... godło „ojcobójstwa“—ale i to uległo zwykłej metamorfozie, skoro zbójca ulżył swemu sumieniu wyznaniem i tego ostatniego grzechu. Zaledwo zaś przebrzmiały słowa rozgrzeszenia, zgrzybiały pokutnik, uwolniony z pęt występku, wyzwolił się zarazem z oków cielesności, bo... w proch się rozsypał.

Powieść ta ludowa, której gdzieniegdzie styl napozór pretensyonalny nadany został umyślnie, by uwidocznić później jeszcze raz wskazane podobieństwa z dziejowym prawdziwym wypadkiem, żyje (przynajmniej żyła 1863 r.) na Zamagórzu w odmiennej nieco osnowie. Kiedy dopiero co podana baśń o Madeju nastręcza dobitne wskazówki zwikłania się w jednę całość mytu i faktu historycznego, natomiast podanie Zamagórskie stoi niewątpliwie na pół drogi między prawdą a fantazyą; uczy nas w sposób dotykalny, jak drgający życiem, wątek dziejowy przechodził w dziedzinę twórczego natchnienia. Ale idźmy do rzeczy.

Zamagórze, leży między górnym Dunajcem a Popradem, w miejscu gdzie ten ostatni przerzyna Magórę, i na wąskiem swem wybrzeżu jedyną w tem miejscu przedstawia ścieżkę dla wędrowców spieszących z jednej na drugą gór stronę. Tędy każdy iść musiał; tu każdego śmierć spotykała, bo, gdzie dziś kościołek Ś. Anny pod Podolińcem się wznosi, krwawy łupieżca „o lipowej“ maczudze obrał swe legowisko, i na przechodni życie i mienie czatował. A Krudynhop, może „okrutny chłop,“ a może „Kapardyn“ (zwieńczony rzekami) było mu na imie. Między innemi ofiarami, zabił nakoniec pielgrzyma, który wracał od grobu świętego męczennika, podobno nawet z miejsca, gdzie śmierć biskup Wojciech poniósł. (Przypominamy znany nam już z opisu męczeństwa biskupa, Cholin, i wędrowca, który idąc brzegiem rzeki znalazł tam głowę apostoła i przeniósł ją do Gniezna).

Pielgrzym ów konając, wyjąkał: ‚jako dla mnie litości niemiałeś, tak niechaj twe prośby o zmiłowanie będą u Boga daremne.“ Słowa te zbył Krudenhop śmiechem, aż oto we śnie widzi się na piekło skazanym, w skutek próśb swych ofiar, a gdy już ma uledz srogiej kaźni, jawi mu się we śnie postać mnicha... W rozpaczy, wyciąga doń ręką po ratunek z otchłani, w które leciał... Wtem się ocknął, i... o dziwy! Przed nim senne widziadło w dotykalnej stoi postaci. „Benedyktyn“ więc mnich tego samego zakonu, co najdawniejszy międzyrzecki żywociarz Ś. Wojciecha, tak cudownie zjawiający się we śnie i na jawie, jak ów chłopiec Madejowi, słucha grzechow—Krudynhop na mogile pomordowanych zatyka swą maczugę, zlewa ją łzami i wodą noszoną z Popradu. I oto sucha pałka zazielenia się w drzewo. Zbójca na tem niepoprzestaje. Wznosi za swe skarby kościół, przy którego budowie sam pracuje, służąc zarazem za przewodnika wędrowców idących dawnym szlakiem. W lat, kilka—wracający benedyktyn rozgrzesza zbójcę, lecz ten nierad z takiego zadość uczynienia żąda kaźni od ludzkiej sprawiedliwości. Ścinają go więc, a z oczu ściętego na mogile zabitych, woda uzdrawiająca jako trwałe źródło tryszcze.

Nad drzwiami zakrystyi kościołka tego jest obraz zbójcy podlewającego lipkę. Obok, trzy koście do gry, i trzy miecze skrzyżowane. Nad tem wypisany rok „1012“ (jakoby wypadku). Na ratuszu zaś miejscowem pokazują maczugę (sic) i miecz z koroną jabłkiem i krzyżykiem na rękojeści wyrytemi. To ma być spuścizna Krudynhopa (sic), który miał być mężem wojennym, i po spełnieniu jakiejś zbrodni, udał się w te strony na rozbój.

Dosyć porównać te podanie o Krudynhopie z Madejową baśnią, by samemu już odróżnić część mytologiczną. Maczuga, zmieniona w drzewo, istnieje dotąd. O jabłkach, gołębiach, niesłychać. Został pielgrzym idący od świętego grobu Ś. Wojciecha, został jakiś mąż rycerski a zbrodniczy, który pokutę odprawia, gdy ujrzał owego pielgrzyma i który zostaje ścięty (1012?).

(*D. c. n.*)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Wpoiwszy w dziecię miłość dla rodzeństwa, domowników, zwierząt i roślin—przejdźcie po mału do rozpoznawania z niem razem, co jest złem lub dobrem, na stępnie do rozpoznania, co jest moje, co twoje.

Dziecię kochające, z radością się ze wszystkiemi podzieli każdym łakociem, który dostanie, rozwijajcie więc w niem wcześnie ten zawiązek gościnności i uprzejmości. Potem uczcie je poznawać przedmioty, które do niego należą i te, które są własnością drugich.

Naprzykład, jeżeli chce karmić ptaszki lub zwierzęta, niech im udziela kawałki chleba z porcyi, która dla niego jest przeznaczoną. Jeżeli zaś ilość ta okaże się niedostateczną, rzućcie im więcej kawałków, ale wtedy dziecię niech tylko patrzy, a zawczasu nauczy się szanować przedmioty, które w waszych rękach zobaczy i niech pozna, że one nie należą do niego. Nie pozwalajcie mu też dotykać się do niczego, bez poproszenia pierwiej o pozwolenie. Z waszej zaś strony, strzeżcie się brać mu z rączek przedmioty, któreście mu dali, bez poprzedniej prośby o dobrowolne ich oddanie. Uszanowanie jego własności, będzie mu podnietą do poszanowania waszej, a z czasem, ta sama uwaga przechodząc z przedmiotów na ludzi, bardzo wam ułatwi dalszy rozwój wychowania.

Dziecię sztuka i hałasuje w waszej obecności, przeszkadza wam w zajęciu; przytulcie je do siebie i opowiedźcie mu ileście dla niego ofiar i przykrości ponieśli, ile razy musieliście znosić jego krzyki i płacze. Otóż teraz prosicie je żeby zaprzestawszy krzyku i hałasu, cicho się przez czas jakiś bawiło. Dziecię was z pewnością usłucha, a wtedy ucałujcie je, mówcie mu jaką to wam przyjemność sprawia, widzieć je tak dobrem i posłusznem.

Wprawdzie zupełnego spokoju mieć nie będziecie, nie obejdzie się bez szeptów i tajemniczego zaglądania, co też robicie, ale wtedy, chociażby to wam przykrość sprawiało,

nie objawiajcie mu swego nieukontentowania; zważcie raczej, jakiej siły woli potrzeba było, ażeby przezwyciężyć tę niepomiarkowaną ochotę, do hałasu i krzyków. Uszanujcie więc to przezwyciężenie się w dzieciach waszych, niezapominajcie żeście sami, będąc dziećmi, za największą karę uważali, siedzenie cicho i spokojnie w obecności starszych. Natura dziecinna potrzebuje ruchu i to, co dla was jest małą przykrością, staje się dla nich męczarnią.

Najlepszą szkołą dla dziecka, jest obcowanie z towarzyszami, lub młodem rodzeństwem. „Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło.“ Powinnoby być tak jak w starożytności, napisane na drzwiach pokoju dziecinnego.

„Czy podobałoby się Jasiowi, żeby Mania brała jego zabawki i biła go, kiedyby chciał je odebrać?“ możecie odezwać się do chłopczyka, skarżącego się, że mu starsza siostrzyczka nie pozwala brać swoich zabawek: „nie rób tego Jasiu, to brzydko i mama się martwi, jeżeli synek jej jest niegrzeczny.“ Taka przemowa parę razy powtórzona, skutek swój bezwątpienia odniesie, Jaś nauczy się szanować zabawki siostrzyczki, i tylko za jej pozwoleniem ruszać je będzie.

Często też się zdarza, że starsze rodzeństwo jest bite i drapane przez młodsze, i z tego powodu rozpoczynają się skargi, lamenty i wzywanie niańki lub matki na pomoc. Matka prawdziwie dobra i rozsądna, nie omieszka skorzystać z tej sposobności, ażeby oskarżającemu nie wytłómaczyć, że braciszek lub siostrzyczka są jeszcze za mali, iżby mogli rozumieć co robią, i że kiedy on sam także był małym, mamie i niańce od niego często się dostawało, a mama i niańka dla tego kochają go i nie skarżyły przed nikim!

Spokój domowy tak zakłócony, prędko znów przywróconym zostanie, a starszy brat lub siostra, pobłażliwie zaczną się obchodzić z młodszem rodzeństwem, uważając je za istoty słabsze, potrzebujące ich opieki.

Nie myślcie jednak matki, ażeby dzieci tak prowadzone odrazu was usłuchały, nie zrażajcie się, jeżeli kilka i kilkanaście razy przyjdzie wam to samo powiedzieć i przypomnieć. Nie zmieniajcie tego trybu postępowania, a z pewnością w krótkim czasie rezultat dobry dostrzedz będziecie mogły.

W wychowaniu dzieci cnota gościnności nie powinna być zapominaną. Jeżeli mają one swych małych gości, trzeba dawać baczność, ażeby się z niemi wszystkiem dzieliły i starały się być uprzejmemi. Z podobnem rozwijaniem pojęcia o dobrem i złem, obudza się w dziecięciu sumienie. Ono czuje, kiedy dobrze lub źle postąpiło, żałuje tego i upokarza się przed samem sobą. Krótkie i przemijające są wprawdzie te chwile, ale łagodne i poważne słowo kochającej matki, może je zbawiennemi uczynić, korzystając z każdej chwili żalu dziecięcego, przemawiając wtedy do niego z miłością—można głęboki i nigdy niezatarty wpływ wywrzeć. Dłuższe gniewanie się na dziecko, jest szkodliwem. Ono nie rozumie waszego uczucia i sądząc po sobie, biorąc miarę ze swojej natury, prędko zapominającej o każdym wrażeniu, uważa was albo za osoby kapryśne, albo co gorsza, przestaje się o to troszczyć i obojętnie się od was odwraca. Dla tego też radziłabym unikać niepotrzebnego gniewu. Niech miłość macierzyńska nie ostyga w was, po wymierzeniu kary dziecięciu, pokazywanie mu potem surowego oblicza zniechęca je do was, a nawet osłabia jego ufność w waszą miłość i przywiązanie.

W późniejszym wieku dłuższe nieukontentowanie lepszy wpływ wywrze, lecz zawsze ostrożnie postępować należy, chroniąc się od przesady.

Jan Paweł tak się jeszcze odzywa: „Za nadto wielka sentymentalność w dziecięciu, albo z wiekiem przeradza się w najwyższą obojętność i chłód, albo też czyni je nerwowem, niezdolnem do życia praktycznego. Uczucia, podobnie jak kwiaty i motyle, im później się rozwijają tem dłuższe jest ich istnienie, z tego więc powodu, dziecię im dłużej w dzieciństwie uczuciowem pozostaje, tem pewniejszy później i trwalszy rózwój jego uczuć, tem więcej one pożytku przyniosą.“

Jednocześnie z rozwijaniem się umysłu można wymagać od dziecka mówienia zawsze prawdy.

(*D. c. n.*)

NIEBIESKA SUKIENKA,

POWIASTKA.

PRZEŁOŻYŁ Z FRANCUSKIEGO

B. Pohorecki.

(Dalszy ciąg).

— Tak — odrzekł — nudzę się... Jestem zawsze sam! zawsze sam! To mi jest bardzo przykrem, dodał z goryczą.

Rudolf wziął go za rękę.

— No, wsiądzmy do powozu — rzekł — pogawędzimy.

Podczas drogi, Rudolf starał się wprowadzić swego towarzysza w lepszy humor i skłonić do wypowiedzenia powodów swego smutku.

— Nie jestem szczęśliwy — rzekł Van Coppenaël — i powiem panu dlaczego; chociaż zaledwie się znamy, dotychczas jednak nikt nie wzbudził we mnie większego zaufania od pana; nie jestem szczęśliwy, ponieważ nie mam rodziny, ani domu. Matka moja, niech mnie Bóg strzeże żebym miał źle o niej mówić, pozostawia mnie zawsze samego, i... widzi pan, panie Rudolfie, my mężczyźni, doszedłszy do pewnego wieku, chociażbyśmy byli najlepszymi synami, powodowani wyższem prawem, zmuszeni jesteśmy szukać szczęścia gdzieindziej, niż w swojej rodzinie. Wzrastając w lata, zużyliśmy wszystko, co nam rodzice dać mogli; potrzebujemy nowych pokarmów.

Rodzice nie pojmują tego. Byłem jeszcze dzieckiem gdy straciłem ojca. Matka moja jest najlepszą kobietą, bardzo szanowaną i godną kochania; lecz wdowieństwo spaczyło nieco jej charakter. W miarę jak wzrastałem w lata, kiedy właśnie potrzebowałem, łaknąłem przywiązania serdeczniejszego, bardziej troskliwego, więcej... *poufałego*, czułem się coraz bardziej odosobnionym, widziałem na około siebie nieufność i stałem się skrytym. Jednocześnie matka moja przyzwyczaiła się powoli do pewnych pretensyi, wymagań ze swojej strony, które bardzo szanuję, lecz do których zastosować się nie mogę. Ot, naprzykład pan: matka pańska czeka na pana wczoraj, a dziś przybywasz; otóż, moja matka nigdyby mi tego nie przebaczyła. Czasami myślę, że to może moja wina, że zapał młodości...

— Jesteś pan wyborny chłopak—rzekł życzliwie Rudolf, nie mogąc się jednak wstrzymać od śmiechu na myśl o zapałach młodości Van Coppenaëla;—i trzeba być dyablego charakteru, żeby się z panem nie zgodzić.

Po spojrzeniu pełnem podziwienia i zarazem niezadowolenia, jakie na niego zwrócił Van Coppenaël, Rudolf poznał, że zapewne nierozważnem słowem musiał poruszyć słabą stronę swego przyjaciela; przykro mu się zrobiło, tymbardziej, że nie miał wcale tej myśli, to też przeprosił go, postanawiając na przyszłość mieć się na baczności.

— Ile pan masz lat—zapytał.

— Dwadzieścia cztery—odrzekł Van Coppenaël. Zdaję się być starszym, nieprawdaż? wszyscy mi to mówią. Co pan chce! Jużem ja taki.

To mówiąc, Van Coppenaël wzruszył ramionami patrząc z zakłopotaniem na swe olbrzymie nogi.

— Pozwól pan — rzekł Rudolf — nie wiem czy tak samo w Holandyi, lecz u nas we Francyi dochodzimy pełnoletności w dwudziestym pierwszym roku.

— I w Holandyi także — odparł Van Coppenaël.

— Cóż więc panu przeszkadza, zostając jednocześnie w dobrych stosunkach z matką— mieszkać osobno i prowadzić życie według własnego upodobania?

— Zostawić matkę samą!—rzekł Holender z rodzajem przestrachu—to niepodobna?

Po chwili milczenia dodał:

— Próbowałem i tego; wuj który mnie bardzo kocha, i któremu wszystko opowiedziałem, radził mi podróżować, mówiąc:

— Powrócisz za sześć miesięcy, lub za rok i będziesz innym człowiekiem; życie twoje musi się koniecznie odmienić. Byłem w Rosyi, i zaledwie wróciwszy, zmuszony byłem drugi raz wyjechać. Przyjechałem do Francyi.

— Nie możesz pan przecież przepędzić całego swego życia w podróżach, jak żyd wieczny tułacz. Trzeba trochę żyć i u siebie—rzekł wesoło Rudolf. Nie sądź pan, że lekko traktuję pańskie skrupuły, są one godne szacunku. Trzeba się tylko porozumieć z matką. Patrz pan, ja mam dwadzieścia siedem lat, otóż już cztery lata jak prowadzę edukacyą mojej matki. Trzeba tylko chcieć.

— Nie przestanę być synem mojej matki, dopóki się nie ożenię—odrzekł poważnie Van Coppenaël.

— W samej rzeczy—wykrzyknął wice-hrabia, to doskonały sposób. Lecz do licha, w pańskim wieku, to za gwałtowny środek! jestto ostateczność fatalna!

— Małżeństwo—mówił w zamyśleniu Van Coppenaël, to jedyny środek. Zastanawiałem się nad tem. Tylko, że to... to jest trudno.

— Dlaczego trudno?

— O!... odrzekł Van Coppenaël, z rodzajem dziecinnej wstydliwości.

— Nie rozumiem pana. Wprawdzie ja, nie namawiałbym pana do małżeństwa. Podług mnie, małżeństwo jest lekarstwem, które się przepisuje tylko niebezpiecznie chorym. Miłość poważna, to nie dla mnie; na pańskiem miejscu wolałbym jeszcze dziesięć lat podróżować. Lecz ponieważ małżeństwo jest stałą myślą pana, w uskutecznieniu tego nie widzę żadnych trudności. Jesteś pan młody,—po sposobie życia uważam, że masz dostateczne środki....

— Jestem bogaty.

— Młody, bogaty, szlachcic,—dalej mówił Rudolf, cóż więcej potrzeba? Leczi sobie życzysz, ręczę, że za osiem dni będziesz pan żonaty.

— O!.. o!.. rzekł wstydliwie Van Coppenaël.

— Bez wątpienia.

— O!... ja znam siebie, nie posiadam ani bystrego umysłu ani dowcipu; jestem nieśmiały, niezgrabny, brzydkiej powierzchowności...

— Ale cóż znowu! zawołał Rudolf.—Masz dobre serce, prawość charakteru, łagodność... wspaniałą postawę; zresztą mężczyzna zawsze jest dość ładny.

— Niezupełna to prawda — odrzekł Van Coppenaël. Jestto teorya wymyślona przez

mamy, mające brzydkich chłopców. Nie, ja znam siebie, przymioty moje nie wystarczają dla kobiet... Szczególniej dla waszych Francuzek....

— Dlaczegóż nie miałbyś się pan ożenić w Holandyi?

— W Holandyi — odrzekł spokojnie Van Coppenaël, kobietę z którąbym się ożenił znałaby matka i byłoby z nas dwoje dzieci zamiast jednego. Żeniąc się zagranicą, powracam z żoną, której matka moja nie zna. Nie ma wtedy między nami nic wspólnego, żadnej łączności, żadnych nieporozumień, i jestem prawdziwym panem w moim domu. To wszystko wydaje się panu dziecińęstwem, śmiesznością, nieprawdaż? lecz takiem jest moje zdanie.

— Czysty Machiawel, pomyślał wicechrabia. Zresztą—rzekł w końcu, będzie panu dwadzieścia razy łatwiej ożenić się tu, niż w swoim kraju.

— O!... rzekł Van Coppenël.

— W samej rzeczy.

— Pan żartuje?

— Bynajmniej.

— Z jakiego powodu?

— Dlatego, że pan jesteś cudzoziemcem.

Van Coppenaël wybuchnął głośnym śmiechem.

— Mówię bez żartów—odrzekł Rudolf.— A karty wizytowe! A! mój panie... to chyba nie wiesz pan, jaką przewagę mają nad kobietą nazwiska cudzoziemskie, gdy idzie o małżeństwo. We Francyi!... ależ we Francyi znajdziesz pan tysiące kobiet, którym nazwisko wicehrabinej de Frenays wydaje się bardzo skromnem.

(Tu Holender, uważał za stosowne wypowiedzieć komplement swemu przyjacielowi, lecz cała jego dobra chęć, ograniczyła się na zwyczajnym wykrzykniku: O!).

— Tak, mój przyjacielu, mówił dalej Rudolf — a to dlatego, że między nazwiskami wicehrabiny de Frenays, wicehrabiny de Marseuilles albo de Rastignac nie ma żadnej różnicy; ale nazywać się panią baronową Van Coppenaël, mieć lwa holenderskiego w swoim herbie, widzieć nazwisko swoje wpisane w złotą księgę arystokracyi holenderskiej, o! to rzecz wcale inna!

XII.

Propozycyja.

— Przyszła mi jedna myśl; — chcesz pan przyjąć moję propozycyą? — mówił dalej Rudolf.—Nasza znajomość wprawdzie: jest bardzo świeżej daty, aby mój pomysł przyszedł już teraz do skutku; lecz jeżeli stosunki między nami zawiązane, potrwają dłużej,—o czem nie wątpię, — naprzykład do przyszłej zimy, przedstawiam pana w towarzystwach paryskich, robisz mnie pan swoim plenipotentem....

— Nie, odrzekł Van Coppeuaël, wyjeżdżam za dwa miesiące.

— Dlaczegóż koniecznie za dwa miesiące?

— Nie wiem, lecz tak już postanowiłem.

— Pomówimy o tem później, pozwól mi pan skończyć. Tak więc, robisz mnie pan swoim plenipotentem, dajesz mi poznać wysokość twoich dochodów, ważność i znaczenie tytułów—a w przeciągu miesiąca ożenię pana.

— O!.... to niepodobna!

— Dlaczego? czyż ludzie w naszym wieku nie żenią się kiedy chcą?

— O!....

— Co?

— Kiedy chcą?

— Bez wątpienia.

— O!...,

Tu Van Coppenaël, widocznie zakłopotany wyjął machinalnie fajkę.

— Dam panu ognia, rzekł do niego Rudolf. Zanim dojedziemy do zamku możesz pan wypalić.

— Nie, dziękuję—odrzekł Van Copoenaël, to było bez myśli.... I schował napowrót fajkę do kieszeni.

— No i cóż—mówił dalej Rudolf—przyjmij pan moję propozycyą. Jestem pańskim przyjacielem, życzę ci dobrze; zresztą matka moja będzie nam w tem pomagać. Jakiego posagu wymagasz pan od przyszłej małżonki?

Van Coppenaël nic na to nie odpowiedział. Wyjął znowu z kieszeni fajkę i krzesiwko. Wzmianka o pieniądzach, herbach i tytułach robiła na nim nieprzyjemne wrażenie i do najwyższego stopnia rozdrażniała wrodzoną mu nieśmiałość; miał inne pojęcie o małżeństwie.

Po chwili milczenia, zapalając wolno i niezgrabnie fajkę—odrzekł:

— Nie o to mi chodzi, nie myślę wcale żenić się z kobietą bogatą, ani dobrze urodzoną.

— Jakto? — rzekł Rudolf ze żdziwieniem, trzeba się przecież ożenić stosownie, odpowiednio do godności, jaką pan zajmuje w świecie i do majątku...

— Nie panie, zastanowiłem się nad tem, nie jestem ja tak jak pan—mówił dalej Van Coppenaël głosem cokolwiek wzruszonym, — nie, nie mówmy już o tem. Namyśliłem się. Gdybym się żenił, to nigdy dla wzbogacenia się, bo i tak całych moich dochodów wydać nie potrafię; co się tyczy szlachectwa, jestem dość dobrze urodzonym, nie boję się więc mezaljansu. Dziadek mój, który zajmował pierwsze miejsce w królestwie, ożenił się z mieszczanką, mój ojciec naśladował go, dlaczegóżbym i ja nie miał iść za ich przykładem?

— Jednakże—odparł Rudolf, prawie przekonany temi argumentami—jeżeli pan wybierzesz żonę z klasy.... niskiej, jakiegoż przyjęcia dozna ona od pańskiej matki?

— Co do tego, — odrzekł Van Coppenaël tonem stanowczym i z energyą, która zadziwiła Rudolfa — jeśli co przedsięwezmę mam swoję wolę, którą będą szanować. Gdybym się jednak omylił, dodał łagodniej, gdyby mój sposób myślenia miał mnie kiedyś uczynić nieszczęśliwym, nie moja w tem będzie wina.

— Jesteś pan poczciwy chłopiec!—rzekł do niego wzruszony Rudolf, ściskając go za rękę, gdybym miał siostrę tobym ją panu oddał.

XIII.

Inny świat.

Van Coppenaël doznał jak najlepszego przyjęcia od pani de Frenays. Rzecz godna podziwienia—dzięki rozumnej i zręcznej dobroci matki Rudolfa—odrazu czuł się jak we własnym domu. Sądził, że to samo z siebie przyszło.

Przy obiedzie mógł rozmawiać, a jeśli ludzie takiej wartości moralnej i takiego usposobienia jak Van Coppenaël mogą mówić i dają się zrozumieć, wstępują na miejsce sobie należne.

Van Coppenaël mówił dobrze — i dużo!.... chociaż znajdował się w towarzystwie kilku obcych osób, między któremi dwie młode panienki jaśniały wdziękiem i urodą.

Jedna z nich panna de Fargues była cioteczną siostrą Rudolfa — który ją bardzo kochał.

Była sierotą, bogatą i zostawała pod opieką ciotki swojej pani de Frenays.

Zapewne marzycie już o małżeństwie i o Van Coppenaëlu.

Zobaczymy.

Wszyscy bardzo polubili i zachwycali się młodym Holendrem. Rudolf znalazł chwilkę sposobną, w której pomówił na stronie z matką o swym nowym gościu.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— **„Ruski Mir"** donosi, iż kilku petersburgskich kupców zobowiązało się złożyć kapitał, który ma być użyty na utworzenie szkoły niedzielnej dla chłopców pracujących w handlach i sklepach.

— Międzynarodowy **Kongres geograficzny**, otwarty zostanie w Paryżu dnia 1 sierpnia b. r.— Wystawa przy nim urządzona, otwartą zostanie dla publiczności w dniu 15 lipcu t. r.

— W Marbach, rodzinnem mieście **Szyllera** wzniesiony zostanie w roku przyszłym pomnik dla znakomitego poety. Model pomnika wykonał rzeźbiarz Rau. Jak Gazety niemieckie piszą — bronz, użyty na odlanie pomnika ma pochodzić z dział zdobytych w roku 1870 i 71 na Francuzach.

— Niezmordowany Ofenbach pisze obecnie nową 3 aktową operę p. t. **„La Créole."**

— W tych dniach w Poznaniu przedstawidno z orkiestrą i chórami **„Pieśń o ziemi naszej"** Wincentego Pola, do którego to poematu muzykę skomponował pan Dembiński. (Gazeta Polska).

— Doktór Władysław Wisłocki wydał w Krakowie **„Kodeks pilzneński ertylów Magdeburgskich."** Jestto bogaty materyał do historyi prawa w polsce. Rękopism tego kodeksu nabył w Pilznie August Bielowski.

(Gaz. Pol.)

— Rosyjski historyk **Kostomarow**, napisał historyczny romans, osnuty na tle dziejów Iwana Groźnego, pod tytułem: **„Kudejar."**

— Donoszą do Augsburgskiej „A. Ztg." z Waszyngtonu, że przy pomiarach topograficznych i geologicznych w krainach Arisona, New-Mexico i Colorado, **natrafiono na ruiny miast i włości**, mogących istnieć tutaj przed tysiącem lat. Ruiny gmachów, a szczególniej świątyń poświęconych czci słońca, pokryte są hieroglificznemi napisami, nad którórych odczytaniem, uczeni Amerykańscy łamią sobie głowy.

— Dnia 3 b. m. i r. umarł w Amsterdamie **E. I. Potgieter**, jeden z najcelniejszych współczesnych poetów holenderskich.

— Istniejące w Lipsku **Towarzystwo historyczne** imienia Jabłonowskich, wyznaczyło na r. 1875, 90 dukatów nagrody, za napisanie rozprawy, wyjaśniającej stosunek języków grupy słowiańskiej i języka litewskiego, do grupy języków germańskich. Termin zeszłorocznego konkursu, na rozprawę: „Historya handlu zbożem Polski z zagranicą," zostaje przedłużonym na rok bieżący.

— **Jerzy Smith** w Londynie, pomiędzy tablicami z napisami assyryjskiemi, znajdującemi się w Brytańskiem muzeum, miał odnaleść tablicę opisującą legendę wieży Babel. W roku zeszłym tenże sam Smith, odnalazł takąż tablicę z legendą o Potopie.

— We Lwowie wkrótce ma zacząć wychodzić nowe pismo ilustrowane p. t. **„Kronika ilustrowana."**

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Tomaszowi Krzywiec. Wszystkie numera wysyłamy jak najregularniej; kilka wysłaliśmy powtórnie o te zaś których pan obecnie nie otrzymałeś, racz się pan upomnieć na tej stacyi pocztowej, gdzie inne były odebrane.

Ks. Sopoćko w Żarkach. Na rachunek dawnej redakcyi odbierać pan będziesz *Ognisko* tylko do dnia 1 marca r. b. czyli że dzisiéjszy numer jest ostatnim, który na rachunek p. Korpaczewskiego wysyłamy.

Z dniem 1 marca r. b. kończy się prenumerata osobom poniżej wymienionym, które dotychczas odbierały *Ognisko domowe* na rachunek dawnego wydawcy p. Korpaczewskiego:

1. W-mu Ks. Emelita w Węgrowie.
2. W. Młyńskiemu w Kniaziewicach.
3. W. Pawłowi Lackiemu w Romejkach.
4. W. Emilii Strzałkowskiej w Taraszczy.
5. W. Ignacemu Chełmińskiemu w Żwanczynie.
6. Janowi Sławińskiemu w Berdyczewie.
7. W. Waleryi Pietrzyckiej w Winnicy.
8. W. Ozdmińskiemu w Słupcy.
9. W. Ks. Sopoćko w Żarkach.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr. 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawa, **Bronisław Przyrembel.**